

razem jej *pełnego zrozumienia*, jeśli będzie mógł odpisać tylko na co czwarty list, oraz stwierdzeniem, że ona, chociaż jest *starszą panią bez większego wykształcenia*, rozumie, *bardzo dobrze* rozumie, że bycie *studentem* wymaga *całkowitego poświęcenia czasu i koncentracji* i że Jarle nie może tak po prostu przerywać *poważnej nauki i wnikliwych studiów*, aby napisać list do starszej pani, która spędza dni, grając sonaty Liszta na pianinie, powracając do wspomnień z przeszłości i zajmując się domem.

„Ależ oczywiście”, pomyślał Jarle, kiedy kobieta odwróciła się do niego, by posłać mu to samo zasmucone, pełne zrozumienia spojrzenie, które parę minut wcześniej zaprezentowała sąsiadka. „Oczywiście, że mogę”.

Oczywiście, że mogę pisać listy do babci.

Więc dlaczego tego nie robię?

Wiercił się w fotelu.

Wyjął z tylnej kieszeni kartkę i położył ją na kolanach.

Miałbym jej teraz dużo do powiedzenia.

„Niekoniecznie o studiach”, pomyślał, „których nie miałyby jak zrozumieć”. Bo jakżeby on, który kiedyś miał takie *światne włosy*, jak mawiała babcia, gdy przyjeżdżał do domu latem lub na święta zawsze z równie gładko ogoloną głową, jakżeby on miał wyjaśnić babci urodzonej w roku wybuchu I wojny światowej, babci, która całe życie opiekowała się dziećmi, mężem i dbała o dom, jakże miałby wyjaśnić jej współczesną teorię literatury?

I po co właściwie miałyby to robić?

Teraz jednak mógłby jej dużo powiedzieć.

Nie o życiu studenckim, które wydałoby się jej niesamowicie odległe. Czy miałby opowiedzieć babci, która nigdy nie wypijała nawet szklaneczki damskiego piwa, jak od chwili przybycia do Bergen na pokładzie m/s Kystveien

bladym jesiennym świtem w roku 1991 co najmniej trzy razy w tygodniu napęłnia ciało litrami alkoholu? A może miałby powiedzieć jej o okropnym rozstaniu z Lene? Nie mógł wspomnieć ani o tym, ani o swoim wyłącznie fizycznym związku z największą nadzieją Roberta Göteborga, doktorantką Herdis Snartemo, która była od niego sześć lat starsza i już nazywano ją w norweskim środowisku akademickim przyszłością myśli feministycznej.

Nie.

Po co miałby opowiadać babci takie rzeczy?

Na co by się to zdało?

Czy to fałszywe?

Że babci nie mówi się o wszystkim?

Jarle tak nie uważał. Sądził za to, że ma z babcią wspólny, należący tylko do nich świat, w którym ani ona, ani on nie mówią wszystkiego o swoim życiu, a jednak – a może właśnie dlatego? – oboje lubią w tym świecie przebywać.

No bo w końcu. Babcia i alkohol? Babcia i awangardowe teorie Roberta Göteborga? Babcia i feminizm?

Ale mógł do niej napisać. Mógł szeptem opowiedzieć o tym, co właśnie się wydarzy. O tym dziwnym zdarzeniu, które go irytowało, którego się wstydził i do którego nie wiedział, jak się ustosunkować. Nikomu o nim nie wspomniał. Nawet mamie, żadnemu z kumpli, ani Hassemu, ani Arildowi, zdawało się wręcz, że nie przyznał się do niego sam przed sobą.

Bo czy to zrobił?

Czy przyznał się do tego przed sobą?

Kobieta siedząca przed nim znów się odwróciła. To samo współczujące spojrzenie z zapadniętych, starych oczodołów, to samo zgodne, pełne zrozumienia skinięcie głową, ten sam liliowy kapelusik unoszący się na włosach.

– To smutny dzień – odezwała się słabym głosem starszej pani.

I znów Jarle nie wiedział, co powiedzieć, kolejny raz czuł się zmuszony zgodzić z czymś, czego nie pojmował, więc uśmiechnął się tylko dzielnie i rzekł:

– Tak, można tak powiedzieć.

– Może obejrzymy na lotnisku – odparła kobieta, a Jarle widział, jak się wysiła, by odwrócić starą głowę. – Myśli pan – ciągnęła – że uda nam się obejrzeć trochę na lotnisku?

– Ee... – Złożył usta w ciup i wypuścił powietrze. – No, kto wie? Może?

– Tak. Może. Odbieram wnuczkę, przylatuje aż z Oslo.

– To dobrze – powiedział. – Ja też odbieram... kogoś. „Boże drogi”, myślał, słysząc swój głos.

Kogoś.

Po co światu kolejne dziecko? Czy potrzebne mu następne jasnowłose i naiwnie rozradowane zmartwienie, które będzie się zastanawiać, jak daleko jest księżyc, będzie łamać swoją kruchą główkę nad tym, czy kwiaty potrafią płakać i kto zrywa liście z drzew jesienią?

Cztery tygodnie przed najspokojniejszym dniem 1997 roku Jarle wrócił do domu z wyczerpującego konwersatorium, podczas którego próbował wytłumaczyć grupie pierwszoročzników różnicę między elementem znaczącym i znaczoną oraz między znakiem i desygnatem. Zirytował się, że podobni do kurczaków studenci nie potrafią pojąć najprostszych składników współczesnej semiotyki, bez których dokładnej znajomości nie da się w ogóle zrozumieć najnowszej teorii literatury, i z tą właśnie irytacją otworzył list, który miał zmienić jego życie.

Zdziwienie to oczywista reakcja na list z policji, a Jarle, który zawsze nosił w sobie fundamentalne poczucie, że zrobił coś złego, lub brzydkie przeczucie, że coś złego zrobi, przeraził się wręcz, otrzymawszy takie pismo. Palce świerzbiły go, gdy zobaczył swoje nazwisko na przesyłce nadanej przez policję, pobiegł na górę do mieszkania, jakby ktoś go gonił, zamknął drzwi na klucz i usiadł przy kuchennym stole, na który odłożył list.

Trzy razy okrążył stół.

Uniósł kopertę, trzymał ją w rękach, myśląc o tym sierpniowym dniu, gdy jeszcze parę chwil temu głośno, niemal ze złością powiedział: „Element znaczący i znaczony stanowią relację wyłącznie wewnątrzznakową, wbijcie to sobie do głów, w przeciwnym wypadku możecie w ogóle nie zabierać się do czytania choćby malutkiego artykułiku Derridy, Genette’a czy Paula de Mana!”. List z policji. Do niego. Do Jarlego Kleppa. Ze wstydem przeszukiwał pamięć, próbując sobie przypomnieć coś, co mógł zrobić – czy stosunek na dworze jest nielegalny?

Czy ktoś, może jakaś starsza pani, widział go, kiedy późnym lipcowym wieczorem stał w parku Nygård ze spodniami wokół kostek i dłońmi na biodrach Herdis Snartemo, która wyciągniętymi rękoma obejmowała pień drzewa i wyginając kark, napinając plecy, pozwalając włosom opaść na ramiona, mówiła: „Przybądź, panie radości! Bądź! Mym! Gościem!”*? Czy starsza pani widziała, jak Jarle wchodzi w tę podobną do okrętu bitewnego kobietę, czy podczas wieczornego spaceru z psem zobaczyła, jak z dumą i radością wkracza na pokład bogatego łona Her-

* Słowa nawiązujące do norweskiej modlitwy przed posiłkiem.

dis Snartemo, co uznała za tak nieprzyzwoite i podłe, że wysłała policji skargę na zakłócanie spokoju?

A może chodziło o hałasy w domu?

Czy sąsiadka, kobieta o wylupiastych żółtych oczach, z którą Jarle wymieniał jedynie krótkie grzeczności, doniosła na jego głośne zachowanie w domu i zakłócanie ciszy nocnej, kiedy tak fatalnie skończyła się impreza na początku sierpnia, gdy nikt nie chciał przestać pić, zanim na dobre nastanie dzień?

Jarle wciągnął niespokojnie powietrze i równie niespokojnie je wypuścił.

Usiadł przy kuchennym stole i otworzył list.

Czytał.

Czytał z otwartymi ustami.

Co?

Czy to możliwe?

Odłożył list, po chwili znów go podniósł i znów przeczytał.

Czy to naprawdę możliwe?

Dziecko?

Małe dziecko?

Czyżby on, Jarle Klepp, miał dziecko?

Czy on, Jarle Klepp, jest ojcem?

Dziecka?

Policja prosiła go, na podstawie informacji od niejakiej Anette Hansen, o oddanie próbki krwi w celu potwierdzenia ojcostwa.

Anette Hansen?

I to *dziecko* miało wkrótce skończyć siedem lat, tak głosił list, to prawie siedmioletnia dziewczynka, a on jest rzekomo jej ojcem.

Nie. Nie. Pocił się, mrugał, zaschło mu w ustach. Nie, to nie może być prawda. Wstał od stołu, trzy razy obszedł go z listem w dłoni, nagle wsadził głowę pod kran, puścił wodę i napił się, po czym znów usiadł. o.k. Tylko spokojnie. Uspokój się. Przede wszystkim: to całkowicie niemożliwe. Tego trzymajmy się na początek. Ktoś popełnił błąd. Po prostu tak nie może być. A więc. Tylko się uspokój. *Siedem* lat temu? Nie. Nie. Czyżby on, *siedem* lat temu, spłodził jakieś dziecko? W... który to był... tak, aż w 1990?

Anette Hansen?

Kim, do cholery, jest *Anette Hansen*?

Zupełnie niemożliwe. Zero szans.

Po raz trzeci wczytywał się w list, z urazą i pewnością siebie kręcąc głową. Nie. Nie. Napisali tu, że to dziecko i jego widocznie nieszczęśliwie obłąkana matka zamieszkuje w Skien. Śmiech na sali. Skien? Przecież on nigdy nie był w *Skien*! Co też, kurna, miałby do roboty w *Skien*? A teraz jeszcze ta matka uznała, że *wymyśli* sobie ojca swojego dziecka, którym to – proszę wybaczyć! – miałby być *on*?

Istnieją pewne granice. „I biegną właśnie w tym miejscu”, pomyślał. Źle ma się to społeczeństwo, skoro byle kto może wciskać całkiem obcym ludziom dzieci i żądać, by mówiły im „tato”. „Gdzie podziła się przynależność?” – pomyślał i pokręcił głową. – „Gdzie stabilność? Cóż to za podzielone społeczeństwo? Tutaj przebiega granica” – pomyślał po raz drugi w krótkim czasie. – „Tutaj biegnie granica określająca, w co mogą wciągnąć człowieka obcy”. Poza tym jak miałby oczyścić swoje imię z zarzutów tej całej Anette Hansen?

Anette Hansen.

Co za nazwisko.

„Brzmi niemal, jakby było zmyślane” – stwierdził.

Boże.

Anette Hansen.

Przecież można nazywać się zwyczajnie, ale Anette Hansen?

Jarle stanął. List wyslizgnął się z jego palców. Zobaczył, jak prawa dłoń zaczyna mu drżeć.

ANETTE HANSEN!

Jego gardło nabrzmiało, ścisnęło go w piersi i odcharknął nad zlewem.

ANETTE HANSEN!

Mała, przerażona Anette Hansen?

Jarle chodził w tę i z powrotem po salonie. 1990? Czy to możliwe? Przełykał ślinę, zasłaniał dłonią czoło, chodził w kółko po pokoju. Jeżeli to rzeczywiście prawda... jeżeli tylko tyle potrzeba... to... to... tak, to... Otworzył drzwi na werandę i wciągnął powietrze. Kurwa mać! Przecież nic z tego nie pamięta! A ona chodziła dopiero do dziewiątej klasy! Była w środku okresu dojrzewania! A może pod koniec okresu dojrzewania?

To była gigantyczna impreza. Druga liceum, prawda? Tak. Impreza u nowobogackich, w luksusowej willi na jednej z wysp koło Stavanger. Zagrał okropnie nieudany koncert ze swoim zespołem, później poszedł z kumplami na imprezę, gdzie pochłonął tyle alkoholu i lekkich narkotyków, ile tylko mógł, a duża część tej nocy stanowiła czarny, pusty krater w jego wspomnieniach. Anette Hansen? Boże drogi. Nie pamięta, jak ją poznał. I czego od niej chciał? Czy była aż tak miła? Czyżby wpadła mu w oko późną nocą, w lawinie pijaństwa, rocka i hałasu, czy wyróżniała się niczym świeca we mgle błyszczącym wzrokiem i wstydliwym uśmiechem na ustach? Nie pamiętał. Anette. Hansen. Wiedział tylko, że obudził się następnego dnia w szerokim

łóżku, z dziewczyną obok siebie, dziewiątoklasistką ubraną jedynie w skarpetki, z majtkami wokół kostki.

Jak wyglądała?

Nie pamiętał.

Kim była?

Nie miał pojęcia.

Przecież nigdy z nią nie rozmawiał.

O ile kojarzył, nie zamienił z nią nawet słowa.

Kto taki ma dzieci z ludźmi, z którymi nigdy nie rozmawiał?!

Ja?

Czy to ja mam dziecko z dziewczyną, z którą nigdy nie rozmawiałem?

Jarle wy dobył z siebie krótkie, zdecydowane kasznięcie.

Może rozmawiali zalani w trupa, idąc do pokoju tamtej nocy w styczniu 1990? Ciężko powiedzieć. O ile pamiętał, nie doszło między nimi do niczego poza stosunkiem.

Którego wynikiem jest dziecko.

Małe dziecko.

Które zaraz skończy siedem lat.

Które teraz, niemal siedem lat od swoich narodzin, będzie miało ojca.

Boże drogi.

„Po co światu kolejne dziecko?” – pomyślał Jarle z wściekłością i cisnął list w kąt obok płyty winylowych.

Po co światu kolejna jasnowłosa dziewczynka – wyobrażał sobie, że dziewczynka, której ojcem ponoć jest, ma sięgające do ramion jasne włosy. Po co światu kolejna dziewczynka potykająca się w czerwonych bucikach, bawiąca się... czym tam bawią się małe dziewczynki. Po co, do diaska, światu kolejna radosna, naiwna dziewczynka,

która będzie się zastanawiać... nad czym tam zastanawiają się małe dziewczynki.

Jak daleko jest księżyc?

Czy kwiaty płaczą?

Albo kto zrywa liście z drzew jesienią?

I po co, do diaska, niemal siedmioletniej dziewczynce Jarle Klepp za ojca.

„Przecież nie mam na to czasu!” – myślał sierpniowego dnia 1997 roku, zerkając na skierowanie do lekarza na niesławne badanie krwi.

Twierdzenia Anette Hansen były jak najbardziej zasadne. Jarle Klepp był biologicznym ojcem dziecka. Badanie krwi zostało wykonane zgodnie z nakazem władz i Jarle musiał przyznać, że oto on – który zajmował się proustowską onomastyką, który badał ją tak zaciekle, że jego promotor, Robert Göteborg, niejednokrotnie zdradzał swój zachwyt nad „twoją pracą, Jarle, masz bardzo przenikliwie myśli i równie przenikliwie je wyrażasz” – jest ojcem.

Że był nim od siedmiu lat.

Nie zdając sobie z tego sprawy.

Każdego dnia, który minął, każdego dnia studiów i każdej zakrapianej alkoholem nocy, przez całe akademickie lata dziewięćdziesiąte, Jarle był ojcem. Malutkiego dziecka. Każdego dnia to dziecko wstawało i robiło to, co robią dzieci – „cokolwiek by to było” – pomyślał – minęło już prawie siedem lat, i to on jest jego ojcem.

Niesamowite.

Człowiek chodzi sobie, odbywa stosunek za stosunkiem, lepiej lub gorzej zabezpieczony, bardziej lub mniej udany, i nagle ten z nich, podczas którego nie było się obec-

nym, gdy było się zaledwie kopulującym ciałem, przynosi dziecko? Co z kolei oznacza, że zostało się ojcem?

I oto ojciec, *sam sprawca*, nic o tym nie wie?

Być ojcem, ale nie mieć o tym pojęcia?

Ileż to jego dzieci żyje gdzieś na świecie?

Czy powinien teraz uważać każde dziecko mijające go na ulicy, siedzące w autobusie, kupujące karty kolekcjonerskie u Hernána za własne? Czy odtąd każda para małych niewinnych oczu będzie spoglądać na niego wzrokiem pytającym: *Tata?* Czy każdy bawiący się w piaskownicy pięciolatek z łopatką w dłoni i kamykami w ustach odwróci się do niego, popatrzy mu w oczy i zapyta: *Czy to ty, Jarle Kleppie, jesteś moim ojcem?* Nie, żeby spał w życiu z tyloma kobietami, ale jednak, jeżeli to dziecko z Skien naprawdę istnieje, to czy nie otwiera mu ono drogi do ogólnoświatowego męskiego strachu?

Strachu przed byciem ojcem wszystkich?

I co z jego seksualną przyszłością? Czy odtąd ilekroć zawieje wiatr od morza i Jarle wpłynie na ciepłe wody fiordów Herdis Snartemo, by rzucić tam swą kotwicę, będzie myślał, że tak *naprawdę* właśnie przygotował grunt na przyjęcie dziecka? Czy teraz ilekroć Herdis Snartemo odsunie stanik, aby mógł ująć w usta którąś z jej małych, skorych do zabawy piersi, będzie musiał przywoływać się do porządku, wiedząc, że to pierwszy krok na porodówkę? Czy zacznie słyszeć płacz niemowlęcia, patrząc na pupę Herdis Snartemo? Na samą myśl o której świerzbiły go dłonie? Tę, która zaczęła się tuż pod krzyżem i kończyła dopiero na udach?

Co?

Boże.

I – by wreszcie odsunąć na bok czyste pożądanie – czy Jarle ma *czas* na ojcostwo?

Jasne, że nie. Stwierdzi to każdy, kto tylko rzuci krótkie spojrzenie w stronę Jarlego Kleppa. Dobry czy zły, nowoczesny czy staroświecki, nie ma czasu na bycie ojcem. „To jasne” – myślał, wracając do domu z gabinetu lekarskiego, gdzie, rumieniąc się, oddał krew do badania i gdzie tęgawy doktor powiedział: „Mhm, mhm, no tak, taaak, no tak, zga-aadza się, tak, mhm, mhm. Jarle Klepp, prawda? Klepp? Jarle? Gratulacje! Jest pan ojcem!”. Nie. To bardziej niż jasne. „Ojcostwo wymaga obecności” – stwierdził, gdy mijał w zamyśleniu staw Lungegårdsvannet – „obecności i oddania”. Posiadał obie te cechy, lecz pasowały one do proustowskiej onomastyki, specjalizacji, którą wybrał na temat pracy magisterskiej z zakresu literaturoznawstwa, do pasjonującego zagadnienia, które odkrył w dwunastotomowym dziele Marcela Prousta, do niemal szaleńczego zainteresowania francuskiego pisarza nazwami własnymi oraz zastanawiającego pomijania przez niego imienia głównego bohatera. To temu zasadniczo poświęcał całą swą obecność i całe oddanie. I powinien poświęcać.

Jarle stwierdził zatem, że nie ma czasu na bycie ojcem.

Nie mówiąc już o zdolnościach.

„A te są w końcu ważniejsze” – powiedział sobie w duchu. Czy *potrafiłby* być ojcem, czy nadawał się do tego?

Oczywiście, że nie.

Takie sprawy należy gruntownie przemyśleć, nie można na odczepnego zająć się czymś tak istotnym jak opieka nad dzieckiem, aby to robić, trzeba posiadać wiedzę oraz określone zdolności.

Jedni nadają się do tego, inni do tamtego. „Nie będąc faszystą, można powiedzieć, że właściwe miejsce każdego człowieka” – pomyślał – „i jego właściwe zajęcie da się określić na podstawie tego, co dany człowiek najlepiej w życiu

opanował". A on opanował myślenie. Mówił mu to Robert Göteborg, który najzwyczajniej w świecie zrywał z akademickimi zwyczajami i stwierdzał, dość cicho, by jego słowa uznano za skierowane tylko do Jarlego, ale też dość głośno, by również inni go słyszeli: „Masz szczególny dar, Jarle, dbaj o niego!” – mówiła mu to również Herdis Snarremo, która, jak sama twierdziła, kochała jego ciało i inteligencję. Jarle to zrozumiał. Już wiele lat temu. Że nadaje się do tego abstrakcyjnego życia.

Analitycznego, poetyckiego i abstrakcyjnego życia.

Życia w służbie myśli.

Zrozumiał to, już kiedy przygotowywał się do swojego pierwszego egzaminu na uniwersytecie, gdy pojął, jak łatwo jest mu wykonać odpowiednią liczbę akademickich pompek, co innym studentom wydawało się trudne. Potwierdziło się to przez pierwsze lata studiów, podczas wszystkich egzaminów ustnych, kiedy zawsze, ku własnemu zdziwieniu, udawało mu się błyskotliwie wybronić na nieco wyższą ocenę, nawet z tematów, o których właściwie nic nie wiedział. Odnosiło się wrażenie, że ma do tego smykałkę, takie samo jak podczas oglądania chłopca, który po raz pierwszy wbiega na boisko i instynktownie wie, co zrobić z piłką. Jarle nie posiadał zdolności kojarzenia faktów, przez co w szkole zawsze wypadał gorzej od prymusów, którzy raz przeczytawszy materiał, pamiętali daty i kolejność zdarzeń, podczas gdy on musiał w kółko powtarzać informacje, których zapamiętaniem nie był szczególnie zainteresowany. Jednak na uniwersytecie odkrył, że wcale nie potrzebuje tej zdolności, która tak liczyła się w pierwszych latach szkoły. I gdy tylko złamał ten kod, gdy tylko to pojął, mógł odnieść sukces. Zrozumiał bo-